Ner 20. Kraków, dnia 16go Października 1875. Rok VII.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 centów 15. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują 3 talary.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

16. S. Gawła op. w.	20. Ś. Przen. ś. Wojciecha.
17. N. Florentego b.	21. C. Urszuli p. i tow. mm.
18. P. Łukasza ew.	22. P. Korduli panny.
19. W. Piotra z Alkant.	23. S. Kleofasa i tow. mm.

Adres: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica św. Jana, Kącik Ner 320.

O powszechném braterstwie.

Drwal. Serce mi rośnie, gdy słyszę prawiących o powszechném braterstwie na ziemi! Bo czyż może być coś piękniejszego, jak to, że każdy człowiek będzie wszystkich innych kochał jak swoich braci?!

Czeladnik. I ja to mówię, że wtenczas powstałby raj na ziemi. Ale nie mogę pojąć, dlaczego to dotychczas nie nastąpiło, chociaż już ośmnaście wieków z okładem minęło, od czasu jak Chrystus Pan nadał ludziom to wzniosłe prawo: „Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego.“

Majster. Dlatego, że to pierwotne źródło szczęścia ludzkiego zostało już nieraz zamąconém, braterstwo sfałszowaném i do przeciwnych dobru ludzkiemu celów nadużytém. — I dziś jeszcze są tacy, którzy pod godłem braterstwa chcą łatwo dające się uwieść umysły porwać do czynów ohydnych.

Drwal. Wiem, co przez to chcecie powiedzieć, bo o tém już od naszego kowala słyszałem, że czerwoni republikanie nieustannie krzyczą: „Braterstwo! braterstwo!“ a używają tego słowa za skórę owczą, pod którą się drapieżne kryją wilki. U nich pod braterstwem rozumie się właściwie obrabowanie innych, żeby sami żyli wygodnie i używali świata po swojemu. — W ich nauce nie idzie im o rozszerzenie prawdziwéj miłości braterskiéj, ani o takie czyny, które z nią zgodne, bo na to wystarczają nam religia, moralność i prawo; ale chcą tylko nadużyć naszéj łatwowierności i złudnemi słówkami zachęcić nas do poświęcenia naszego życia, zdrowia i szczęścia rodzinnego; abyśmy swemi rękami pieczone ziemniaki dla nich wydobywali z ognia. Ale myśmy już zmądrzeli; wiemy już, jakie jest prawdziwe a jakie ich braterstwo; to téż nie damy się złowić tym wilkom w owczéj skórze!

Czeladnik. My pod braterstwem wcale co innego rozumiemy. Braterstwo nasze polega na uznaniu w każdym człowieku tego samego powołania ludzkiego i téj saméj godności osobistéj, którą w sobie czujemy; na szanowaniu prawa drugich i wypływającéj z niego wolności działania, które dla siebie nietykalnemi mieć chcemy; na pozostawieniu innych w spokojności i nienaruszoném używaniu swojéj własności — chociażby największéj — tak jak się to i nam należy. Braterstwo nie narusza sumienia i przekonań cudzych, zostawiając każdemu wolność objawiania swych myśli słowem i pismem w szlachetnéj pracy około dobra ludzkości zarówno z nami; szanuje pożyteczne wiadomości drugich i przyczynia się do ich rozszerzenia w celu ogólnego dobra, tak jak chcemy, żeby i nas dla naszéj wiedzy poszanowano; nakazuje nam innym w potrzebach ich tak chętnie dopomagać, jakbyśmy chcieli żeby i nam w złéj doli dopomagano; przyczyniać się do szczęścia i radości drugich, jak sami tego pragniemy. Gdyby wszyscy w ten sposób działali z własnego popędu bez przymusu, a zatém ze szczerości duszy i serca, wtenczas dopiero zapanowałoby na ziemi prawdziwe braterstwo, a życie wszystkich ludzi stałoby się o tyle piękniejszém i zaciniejszém, o ileby przeciwnie zdziczało w skutek przewrotnych i krwawych czynów, do których nas czerwoni republikanie popchnąć pragną.

Majster. Takie pojęcie braterstwa, to jedynie prawdziwe, i z takiém braterstwem możecie mieć spokojne sumienie i być szczęśliwymi we-

wnętrznie, a w waszych stosunkach społecznych doznacie także powodzenia i ludzie poważać was będą. Wielu o tém słyszało, a niejeden z nas sam pamięta czasy zaburzeń, kiedy przewrotne nauki o fałszywém braterstwie pozawracały ludziom głowy. Ileżto wtenczas nieszczęść rozlało się po świecie! ileż biedy pomiędzy klasą roboczą!... Wielu pozostawało całe miesiące bez zatrudnienia, wlokło życie w nędzy, albo musieli pracować daleko ciężéj niż przedtém. — Dopiero gdy wrócił porządek i spokój, znowu odżyła praca, każdy powrócił do swego zawodu, rozwinął się przemysł, podniósł dobrobyt ogólny... a wszystko to w skutek prawdziwego pojęcia miłości bratniéj, któregośmy nie powinni dać sobie nanowo zamącić.

Nauczyciel. Niéma obawy, bo jakoś lepszy duch zawitał wszędzie. Rodzice chętniéj posyłają dzieci do szkoły; dzieci, można przyznać, są teraz uważniejszemi i pilniejszemi w szkole; ich postępy coraz lepsze, a nawet są zgodniejszemi pomiędzy sobą. Widać, że i rodzice w domu nakłaniają je do dobrego; to zaś każe w przyszłości lepszych spodziewać się skutków.

Drwal. Byłoby to bardzo źle, gdybyśmy najpierw i najgorliwiéj nie zaszczepiali miłości bratniéj w dzieciach. Wszakże im więcéj zagrzewać będziemy młodociane ich serca do miłości Boga, siebie i bliźnich, tém pewniéj budować będziemy dla ich szczęścia. Wraz z tém uczuciem stawać się będą coraz cnotliwszemi i rozumniejszemi, a z tego źródła wypływa błogosławieństwo Boże na ziemi!

Czeladnik. Dzieci mają bardzo tkliwe serce. Jeżeli się je napoi zawczasu miłością Boga i bliźniego, i nauczy, że każdy czyn dobry z téj miłości wypływa, to wyrosną na pociechę rodziców i ludzkości.

Majster. Moi kochani! jakże się cieszę, słysząc te zdania wasze! są one wyrazem waszych przekonań o potrzebie prawdziwéj braterskiéj miłości, na któréj całe szczęście ludzkie polega.

Nauczyciel. Któżby się nie radował, skoro od téj miłości zawisł moralny postęp i rękojmia lepszéj przyszłości dla świata! Oby tylko żaden zły duch nie zachwiał téj podstawy ludzkiego szczęścia, jaką jest zdrowe pojęcie braterstwa!

Czeladnik. Bądźcie spokojni! myśmy już nauczyli się odróżniać prawdziwych naszych przyjaciół i braci od tych nędzników, którzy nas swemi fałszywemi radami unieszczęśliwić pragną. Nikogo nigdy słuchać nie będziemy, ktoby nas poduszczał do śmiertelnéj nienawiści ludzi innych przekonań, wyznań i innego powołania; ktoby nas zachęcał do rabunku i niszczenia cudzéj własności, do napadania na wolność i życie bliźniego; choćby nawet tylko do robienia mu jakiéjkolwiek krzywdy. Będziemy się starali wytrwać w szczeréj miłości Boga, i tego obrazu bóstwa, którym my sami jesteśmy, jak również i nasi bliźni.

Majster. Tak jest, tak! Byleśmy chcieli, przy łasce Bożéj wytrwamy do końca w prawdziwém braterstwie, płynącém z miłości ku naszemu Stwórcy.

Wszyscy. Niech żyje prawdziwa miłość braterska, i jéj źródło, serdeczna miłość ku Bogu!

REKRUT.

Powieść, ułożona przez I. G.

(Ciąg dalszy.)

Wojciech, powstawszy, rzekł z powagą:

— Nie lękajcie się za wcześnie; bez woli Boga nic nam się złego niestanie!... Lecz kto chce, żeby mu Pan Bóg dopomagał, musi sobie i sam radzić... A więc do wioseł, chłopcy! opatrzyć galary, czy niéma w którym z nich szpary; bo niedługo czekać nam burzy. Trzymać się środkiem, z daleka od brzegu, żeby nas nie wpędziło na hak jaki lub mieliznę; bo wtedy źle byłoby z nami!... Wy zaś, Janklu, schowajcie się z waszą córką do budki i śpijcie sobie; a jak bardzo źle będzie, to was obudzimy.

— Aj wej! — westchnął handlarz, poszarpując długą brodę i wszedł z Rachelą do budki; ale zaledwo posiedział tam chwilkę, wyszedł znowu, pytając trwożliwie:

— Czy ta straszna burza już jest blisko?

Zagrzmiało wreszcie raz i drugi, wiatr zrywał się coraz silniejszy, przerzucając grubemi deszczu kroplami; wody poczęły się wzdymać i falami robić. Retman*) na wązkiém czółenku pędził jak strzała po ich powierzchni, wołając ciągle:

— Wiosła do rąk!... z daleka od lądu!... na prawo!... omijaj mieliznę!

Równocześnie wskazywał galarnikom swą laską, gdzie się udać mają.

*) Retmanem zowie się człowiek umiejący doskonale pływać i obznajomiony z wodą, który na wąziutkiém czółenku płynie naprzód, aby się przekonać czy galar może płynąć śmiało.

Burza srożyła się z całą siłą i gwałtownością; galary, płynące sznurem jeden za drugim, straciły porządek, a niektóre z nich mniéj wprawną kierowane ręką, zostały uniesione prądem wody. Chociaż południe zaledwo minęło, niebo zaciemniło się, jakby noc była już bliską. Deszcz lał potokami, a szum wody i wichru wzmagał się z każdą chwilą.

Jankel w największéj trwodze i przerażeniu rzucił się twarzą na ziemię, błagając Boga o pomoc. Rachela pocieszała ojca, ile mogła, nadzieją; lecz sama niewiele jéj miała, jak tego dowodziła śmiertelna jéj bladość i drżące od strachu ręce. Flisacy przerażeni także po części tracili już głowę. Jeden tylko Wojciech zachował tyle w podobnym przypadku potrzebną przytomność; biegał on, zachęcał i upominał towarzyszów, aby rąk nie opuszczali, jeżeli im życie miłe. Lecz gdy woda przez spód galaru jego płynąca nagle oblała mu nogi, struchlał i on; bo nie mógł już wątpić, że galar przebity spodem. Na dobitek nieszczęścia trzy inne galary wpędzone falą na galar Wojciecha tak go ścisnęły i przyparły, że ten mimo całych wysileń doświadczonego Wojciecha i nieznużonego syna jego Michała, nie mógł już daléj płynąć o swojéj mocy, aż nareszcie przez tamte silnie uderzany a już poprzednio znacznie uszkodzony musiał zatonąć.

Wody plusnęły, jęk rozpaczy rozległ się nad ich powierzchnią, i resztki galaru wraz z Wojciechem, Janklem i Rachelą znikły w wód głębinie.

Michał tylko jeden zdołał się ocalić odważnym skokiem na inny galar; poglądał on z pozpaczą dokoła, czy nie dostrzeże gdzie nieszczęśliwego ojca swego, by mu nieść pomoc.

Po niejakiéj chwili ujrzał téż istotnie Wojciecha, który już blisko brzegu, robiąc silnie jedną ręką, w drugiéj trzymał omdlałą żydówkę; pasując się z siłą wód rozhukanych, uczepił się nareszcie rosnących u brzegu wiklin, i tym sposobem wydostaje się szczęśliwie na ląd. Tu złożywszy dziewczynę, chce rzucić się nanowo w wodę, aby pospieszyć z pomocą walczącemu strasznie z falami Jznklowi. Lecz w tém uprzedził go już Michał, bo podpłynąwszy spiesznie z długą w ręku żerdzią, podaje takową zanurzającemu się już z osłabienia izraelicie, który dobywszy sił ostatnich, chwyta się konwulsyjnie i zostaje także uratowany.

Zaledwo starzec, leżący przez chwilę bez zmysłów prawie, przyszedł do siebie, załamał ręce i jęknął boleśnie: „Moja Rachel!... moje dziecko drogie!“ i począł targać sobie włosy i brodę.

Wojciech wskazał mu leżącą o kilka kroków córkę, która na rozpaczliwy krzyk ojca usiłowała podnieść się i podążyć ku niemu.

Jankel, nie spodziewając się takiego szczęścia, wzniósł ręce i oczy ku niebu; lecz osłabiony upadł napowrót na ziemię.

Po krótkim wypoczynku przyszli oboje do przytomności, a patrząc przez długą chwilę na siebie w milczeniu, nie mogli się nacieszyć — Rachel z odzyskania swego starego ojca, Jankel zaś, że ukochana jego córka żyje — i w pierwszéj chwili uniesienia zapomnieli nawet o swych wybawcach.

Poczciwy Wojciech stał długo nad nimi, przypatrując się im z radością, podczas kiedy Michał zajęty był chwytaniem przypływających do brzegu desek itp. Wreszcie z otwartą swoją prostotą przerwał tę rzewną chwilę, mówiąc:

— Janklu, jeżeli macie jeszcze ochotę płynąć do Gdańska, to dosyć tych szlochów!... niebo się wyjaśnia, galar ostatni, co się gdzieś był zatrzymał, nadchodzi oto; możecie wsiąść.

Jankel, jakby ze snu zbudzony, spostrzegł się dopiero, że swemu wybawcy ani „Bóg zapłać!“ nie powiedział; powstał więc spiesznie, a rzuciwszy się temuż na szyję, ściskając go serdecznie, zawołał:

— O mój Wojciechu! mój ty wybawco!... cóż ja tobie i twemu synowi dam za życie moje, za życie méj Racheli?... wszystko poszło z wodą!... moje pieniądze, moja pszenica!... Oj wej! Ja do Gdańska, mówisz?... po cóż i o czém ja teraz do Gdańska?!

— Nie bałamućcieno, Janklu!... że wam jeden galar zatonął, toć się to ludziom handlowym zdarza; ale pozostało wam jeszcze dziewięć kryp całych i nienaruszonych.

Jankel nie chciał dać wiary słowom Wojciecha; ale gdy tenże poprowadziwszy go brzegiem na dół, ukazał mu płynące o podal galary, pogłaskał swą siwą brodę i rzekł:

— Niech będzie Bóg pochwalony! Kiedy taka wola Jego, wsiadajmy Wojciechu, bo galar na nas czeka.

Ale Wojciech już nie chciał płynąć do Gdańska; mówił on:

— Galar mój Wisła zakupiła; a flisak, jeżeli towar sprzeda, powinien pieszo powracać do domu, a nie wieszać się na cudzym galarze. Takie jest nasze dawne prawo. — Gdy zaś Jankel zasmucony nalegał koniecznie, aby ich nie opuszczał, choćby tylko dlatego że on nie

mając nic przy sobie, nie będzie mógł aż dopiero w Gdańsku nagrodzić ich za tę wielką wyświadczoną mu przysługę, Wojciech odrzekł: — Co tam gadacie o tém! albożto człek tylko za pieniądze powinien jeden drugiego ratować? Toć nam Pan Jezus tak przykazał: *Co chcecie, aby wam ludzie czynili, to i wy im czyńcie.*

Jankel ze łzami w oczach uchwycił go za rękę i rzekł:

— Mój Wojciechu! ja teraz goły, jak wiecie sami: bo gotówka poszła z wodą, a pszenicy tu nie sprzeda; ale ja wam to dobrodziejstwo chcę wynagrodzić, inaczéj nie spałbym spokojnie. — I usiadł na trawniku, w nadziei że się Wojciech namyśli jeszcze i da się namówić, żeby z nimi popłynął.

— A pamiętacie wy, Janklu — rzekł flisak z pochyloną głową, wpatrując się oko w oko w twarz izraelity, — tego obdartego i kulawego sierotę, co to niegdyś wszyscy swoi nim potérali, i nikt go przyjąć, ani posilić nawet nie chciał, wymawiając się na nieurodzaj i ciężkie ztąd czasy; a wy ulitowawszy się wzięliście go za pastuszka do waszych gęsi; u was nie cierpiał on już głodu i noga mu się szczęśliwie wygoiła?

— To musiało być już bardzo dawno, bo ja nic sobie nie przypominam — rzekł Jankel, kiwając głową.

— A, jużto kawał czasu upłynęło odtąd, bo czterdzieści lat; a wtedy nie byliście tak bogatym jak dzisiaj.

— Oj wej! ja dziś bogaty!... a porachujcieco, co to tam na dno poszło pszenicy, którą ja brzęczącą monetą co do grosza zapłaciłem; i tu co było gotówki przy mnie — rzekł izraelita, macając się po kieszeniach — wszystko wuda zabrała! — Przy tych słowach zakrył rozpaczliwie twarz rękami, bo łzy puściły mu się strumieniem z oczu.

— Wy byliście wtedy arendarzem w Płochowie — mówił daléj Wojciech; — tym zaś biednym sierotą byłem ja, Wojciech Oliwa, jak tu stoję przed wami.

— Aha, przypominam sobie — zawołał tedy Jankel, odejmując ręce od oczu — i zapłaciłem za was dziesięć guldenów gotówką, boście spaśli niemały kawał owsa na cudzym łanie.

— Było gorąco; ja pobiegłem z drugimi chłopakami kąpać się do potoka, a moje gęsiska tymczasem daléj w owies cudzy! Oj, aleście mi też za to skórę tęgo paskiem otrzepali, dziś jeszcze czuję te plagi!

— Jakże nie miałem was otrzepać, kiedy musiałem z waszéj przyczyny dziesięć guldenów zapłacić!

— No, zapewne; ja téż dziś nie mam do was o to żadnéj złości, jak widzicie. Bo będąc sam jakim takim gospodarzem, umiem cenić ludzką pracę, i sam nie postąpiłbym inaczéj w podobnym razie. Późniéj, gdy już odszedłem od was i wróciłem do swojéj wsi, gdzie wujek mój przyjął mnie na służbę, a umierając bezdzietnie zapisał mi swą zagrodę, na któréj dotąd siedzę: słyszałem od ludzi z Płochowa, jak wy Janklu, gdy grad wybił ich ze szczętem, zapomogliście ich zbożem, dając im takowe bez pieniędzy za bardzo miernym procentem. Toby nie każdy żyd zrobił!

— No, prawda; może ja i głupstwo zrobiłem wtedy!... i moja żona długo gniewała się o to na mnie, powtarzając ustawicznie, że „wtedy łyko drzéć trzeba, kiedy się da"; że nie godzi się żydowi litować się nad goimem!... No, to prawda, że u nas jest takie prawo; i to prawda, że moja żona miała wielki rozum... aj wej! o cztery procenty była ona mądrzejszą jeszcze odemnie. Ale jakże było nie zapomagać ich, gdy jeden przychodzi i woła: „Panie Jankel, dalcie mi zboża, bo moje dzieci umierają z głodu!" drugi: „Panie Jankel, dajcie ziarna, bo moja baba opuchła już od tych grzybów i trawy, którą ciągle żyjemy!" trzeci znowu: „Panie Jankel, dajcie na zasiew; bo jak nie zasieję, to i nie mam co robić na pustéj zagrodzie... pójdę w świat, gdzie mnie oczy poniosą, a dług za gorzałkę przepadnie!" A tu ja znam ich wszystkich prawie od dziecka, więc tak sobie myślałem: „Choć ja żyd jestem a oni chrześcianie, to ja przecież od tylu lat siedzę pomiędzy nimi, handluję, zarabiam, żywię żonę i dzieci, które się wszystkie wśród nich porodziły i wzrastają: to oni nie są przecież dla mnie tak całkiem obcymi, żeby mnie ich ciężka dola nie miała obchodzić!" Wkońcu zaś tak sobie rachowałem: „Jakby oni przepadli całkiem, to i ty Janklu nie miałbyś tu daléj co robić, bo i propinacyaby upadła."

— Ha, zapewne! — odrzekł Wojciech — to wam też Pan Bóg to nagrodził, żeście biednych ludzi nie zdzierali do żywego, i pięknego dorobiliście się majątku, skoro stać was było na dziesięć kryp pszenicy.

— Aj wej! dziesięć kryp!... nie wiecieto, że niéma ich już tylko dziewięć?

— Ale nie bredźcieżno Janklu! — rzekł, upominając Wojciech. — Przecież z torbami i tak

nie pójdziecie jeszcze, że wam z dziesięciu pełnych galarów jeden utonął. Dziękując raczéj Panu Bogu, żeście żywi i wy i wasza córka, siadajcie na ten statek co tu na was czeka, i ruszajcie za tamtemi.

— Słusznie mówicie, — rzekł upamiętawszy się izraelita i począł zabierać się w drogę wraz z Rachelą, a na pożegnanie zapytał znowu Wojciecha:

— Jak da Bóg szczęśliwie do domu powrócę, gdzie was mam szukać?

— Może spotkamy się kiedy w Krakowie, bo ja tam dosyć często bywam; a tymczasem bywajcie mi zdrowi.

Żyd z córką, uściskawszy z serdecznością raz jeszcze ręce Wojciecha sprowadzającego ich z brzegu, wsiedli do czołna, które podwiozło ich do galaru, a płynąc już na nim, nie odwrócili ani na chwilę swych oczu od tych brzegów, gdzie pozostawili obu swych wybawców, dopóki Wojciech i Michał nie zniknęli im śród haszczy.

III.

W kilka lat po owém smutném i szczęśliwém oraz na Wiśle zdarzeniu, znowu z początkiem wiosny, wsie okoliczne dostawiały do miasta obwodowego młodzież powołaną na żołnierzy. Jakitaki mniéj dorodny cieszy się nadzieją, że się nie zda i powróci w domowe zagrody; inny znów zdrowo i silniéj zbudowany, a mający starych rodziców, młodą żonę lub narzeczoną, drży z obawy, że go wybiorą i trzeba mu będzie porzucić na długo wszystko co jest drogiém sercu jego.

Byłto dzień jarmarku w mieście; rynek zapełniony rozmaitym ludem: kmiecie, szlachta, mieszczanie, żydzi; targują, kupują, sprzedają, co komu potrzeba; hałas, turkot po ulicach — zwyczajnie jak na targowicy.

Około gmachu rządowego, pod ścianą na bruku, jedni stoją, drudzy siedzą wieśniacy — smutni i zamyśleni. Od czasu do czasu zawołają do kancelaryi dwóch lub trzech z nich po imieniu i nazwisku. Po chwili wychodzą oni ztamtąd napowrót wesoło i raźno; czasem pozostanie z nich który, a później przeprowadzą go żołnierze na odwach jako już rekruta, gdzie nowym wojakom strzygą włosy i słuchają przysięgi,... a za nimi idzie matka, żona lub inni krewni.

Właśnie wyprowadzono ich kilku w stronę odwachu. Pomiędzy nimi odznacza się swą śmigłą postacią jeden rosły i przystojny rekrut; obok niego postępuje z jednéj strony młoda niewiasta, zanosząca się od płaczu, z dziecięciem na ręku, inne zaś nieco starsze wiodąc za rączkę; z drugiéj idzie powoli, laską się podpierając, człowiek blady, z łysą głową, na któréj tu i owdzie bielą się włosy posiwiałe.

Młody rekrut posmutniał na obliczu, stąpa jednakże spokojnie, poglądając śmiało przed siebie; czasem ukradkiem rzuci okiem na żonę i dzieci, westchnie z cicha, i wówczas widno że cierpi srodze.

— Ach! mój Ty mocny Boże! — narzekała strapioną Jadwiga. — Cóż ja teraz pocznę, opuszczona sierota, z temi dzieciętami?... jakąż sobie dam radę, jaką... kiedy mi biorą ciebie, mój Michałku?! Może cię w dalekie uprowadzą strony, a mnie się tu przyjdzie stérać od tęsknoty i biedy!

— Ale moja ty Jadwisiu! — rzekł Michał (gdyżto był znany nam syn poczciwego flisaka Wojciecha, który téż w téj chwili szedł obok niego z pochyloną głową) — dajże już pokój tym lamentom, bo i mnie z tém gorzéj; Boska wola!... człekowi sprzeciwiać się jéj nie godzi, a kraj téż bez obrony być nie może! Prawda, żem się nie spodział, żeby mnie żonatego wziąć mieli, kiedy było tu tylu walnych parobczaków. Ale cóż robić?! da Pan Bóg, może się wkrótce zobaczymy... jeno się nie trap Jadwisiu! Mam ja ojca, masz i ty krewnych, to przecież będą ci radzić w gospodarstwie, byle tylko Bóg dał zdrowie wam i dzieciom. A jak wrócę...

Tu przerwał swą mowę, bo mu żal ścisnął serce; pochwycił tylko rękę żony, a potém odwrócił się szybko, by dłonią otrzéć łzę, co mu się po licu potoczyła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Spór pijaka z żydem.

Pijak.

Dzień dobry, Mośku, rozstaję się z wami!
Nie chcę więcéj sypiać u was pod stołami.

Żyd.

Co ci się Wojtku dzisiaj w twéj głowie stało?
Tyś u mnie pod stołem sypiał bardzo mało!
Tylko na ławce przespałeś się trocha,
Wyszedłeś za mój dom, wstąpiłeś do Rocha.
Tam se wypiłeś dwa, trzy, albo i pięć;
Ztamtąd wyszedłeś, wstąpiłeś do mój zięć.
Tam już bywałeś tak jak w swoim domu,
Krzywdy ci nie robił i nie dał nikomu.
Mój zięć to człowiek bardzo wielkiéj sławy,
On ci pozwolił zająć nawet i stół cały.

P i j a k.
Mośku, ty żydem na świat się rodziłeś,
I w twych szkołach już szachrajstwa się uczyłeś;
Więc teraz Mosiek dobrze każdego uwodzi:
Kto wierzy tobie, pewnie boso chodzi.
Ja, póki z tobą nie wdałem się w mowy,
Miałem koników cztery, krase krowy;
Jak my zostali z sobą przyjaciele,
Nie mam się w co ubrać... nie bywam wkościele;
Dzieci obdarte, a żona o jednéj koszuli,
Dzień i noc płacząc do siebie je tuli.
Taki bywa koniec przyjaźni z żydami,
Meble ci odbierze, a ciebie postawi za drzwiami.
Żyd jest pijawką każdéj warstwy ludu.
By się odeń odczepić, trzeba chyba cudu.

Ż y d.
Ny, Wojtku drogi, nie gniewaj cię tyle,
Przynajmniéj w niedzielę przychodź do mnie mile.
Ja ciebie będę z wódkiem poczęstować,
Ile wypijesz, już ci to darować.

P i j a k.
Niech cię djabli wezmą z twojém darowaniem,
I z wódką twoją i z twojém kochaniem.
Już się w życiu mojém nie chcę z tobą schodzić,
Bo widzę, że jak złodziéj umiesz tylko szkodzić.

Ż y d.
Ny, Wojtku miły, tyle się nie gniewaj;
Choć na minutkę przecież u mnie bywaj:
Ja nic nie winien, ja gruntu nie przepiłem;
Choć ci go sprzedali, ja go nie kupiłem.

P i j a k.
Bo żyd na gruncie niechętnie pracuje,
Łatwym sposobem chętniéj oszukuje.
Czy łatwo znajdziesz, by żyd nie był chciwy
Na ludzką pracę?... by był sprawiedliwy?
Każdy prawie, gdy może, to chłopa oszuka;
Prawdą żyć nie może, nie jego to sztuka.
Mosiek wie dobrze, jak on to pisuje
Na swym szynkwasie... i djabeł nie zrachuje:
Za jeden piętnaście, za dwadzieścia dwieście...
A wy poczciwi i głupi Mośkowi zawierzcie.
Takto żydowska rachuba się toczy,
Gdy chłop gorzałką zaleje swe oczy.
Nie raz, nie jeden na swe oczym widział,
Jak Mosiek do piwa i wodę dolewał;
A chwalił to piwo — o podły zysk dbały —
Że podobnie dobrego nie znajdzie i na Kraków cały.
Ja w życiu mojém niech cię już nie widzę!
Jako pies mydłem, tak się tobą brzydzę.

Ż y d.
Wspomnijno sobie, kochany Wojciechu,
Kto był dla ciebie w nieszczęściu pociechą!
Nie żona, nie brat, ani siostra twoja,
Tylko ja — żydek — i gorzałka moja.
My cię z gorzałką wspólnie ratowali,
W każdym przypadku ciebie pocieszali.

P i j a k.
Precz żydzie odemnie, ty drapieżco mienia!
Ty na świecie żyjesz, jak wilk bez sumienia.
Już ja nie chcę więcéj ratunku twojego;
Bógby mnie nie przyjął do królestwa swego.
Widzę, że kto z pijaństwa za życia nie wyjdzie,
I tutaj nędzny i do nieba nie przyjdzie.
Więc ja odstępuję od tego nałogu,
Nie chcę być przeklętym — wolę służyć Bogu.

Maciéj Szarek, włościanin.

Westchnienie sieroty.

Ach mamo! mamo! Ty leżysz w grobie,
A ja tu błądzę po świecie;
Tylko łzy gorzkie czuję po Tobie...
Ach! biedno, biedne Twe dziecię!

Ach mamo! mamo! Ty pewnie w niebie
W gronie aniołów wesoła,
A ja tu płaczę, wzdycham do Ciebie...
Ach! spuść mi skrzydła anioła!

Ach mamo! mamo! na mojém czole
Troską ślad cierpień wyryła.
Ach! wyproś mamo w aniołów kole:
By mnie mogiła przykryła!

Julian z Bolosława.

Co słychać w świecie?

Austrya. — W Wiedniu delegacye wspólne kończą swoje posiedzenia, uchwaliwszy po największéj części wydatki, jakich rząd na uzbrojenie i wojsko wymagał. Niebawem znowu rozpocząć się mają posiedzenia rady państwa.

W Czechach były teraz ponowne wybory do rady państwa, na miejsce tych, którzy przez uchylenie się od bywania w radzie państwa potracili mandaty. Jak wiecie, deputowani czescy nie bywali dotychczas w radzie państwa, niezadowoleni z obecnéj konstytucyi (tj. urządzenia państwowego), która nie uznaje odrębności ich kraju tak jak Węgrów. W ten sposób deputowani czescy tracili po jakimś czasie swoje prawa i rząd rozpisywał nowe wybory; po największéj części jednak wybierano dotychczas zawsze tych samych, tak że do rady państwa w Wiedniu Czesi dotąd nie uczęszczali. Obecnie wybrano także większość tych samych, choć szerzy się między Czechami nowa partya, tak zwani Młodoczesi, którzy chcą wejść do rady państwa, żeby tam wspólnie z innemi narodami (Polakami, Słowakami) utworzyć silną partyą przeciw Niemcom, którzy dotychczas rej wodzą.

U nas w Galicyi nic nie zaszło ważnego; stara bieda. Skarżą się ludzie, że urodzaje nie dopisały, i obawiają się przykrego przednowku. Winę zwalają na niepogody, zimno i tym podobne przyczyny; a przecież przyznać należy, że do nieszczęść naszych przyczynia się dużo niedołęstwo nasze własne, i gdyby nie ciemnota, lenistwo, zła gospodarka, opieszałość, niewyrachowanie, niechęć do nauki i poprawy gospodarstwa,

nie potrzebowalibyśmy się obawiać głodu przy takich skarbach ziemi, jakie mamy. Dobry gospodarz nie ma prawie nigdy zupełnego nieurodzaju; nie dopisze jedno, to dopisze drugie, i rachunki jakoś się wyrównają. Ale u nas, pożal się Boże, jak licho lud wiejski gospodaruje! Zaorze i zasieje, tak jak dziad i pradziad jego robił; wyzyskuje ziemię jak może, nic lub mało co jéj dając, i dziwi się, że mu ta ziemia wreszcie mało wydaje, szczególnie jeżeli się łaska Boża nie zlituje i nie da stałéj pogody.

Niemcy. — Cesarz Wilhelm wyjeżdża temi dniami z wizytą do króla włoskiego. Obaj monarchowie mają się spotkać w Medyolanie, gdzie na przyjęcie cesarza niemieckiego ogromne robią przygotowania.

— Po uwięzieniu kardynała Ledóchowskiego i po wydaleniu biskupa sufragana zawiadywał archidyecezyą poznańsko gnieźnieńską jako delegat stolicy świętéj ks. kanonik Kurowski. — Rząd niemiecki przez długi czas nie wiedział o nim, i wielu księży uwięził, ażeby wpaść na trop, kto jest delegatem. Teraz właśnie uznano, że delegatem był ks. Kurowski, i za to że bez zezwolenia rządu sprawował ten urząd, zasądzono go na dwa lata więzienia.

Turcya. — Powstanie ucicha, zapewne z powodu niepogody i braku pomocy, któréj powstańcy nie znajdują. Książę serbski stanowczo zaniechał myśli pomagania powstańcom, swoim współbraciom; natomiast wyprawił sobie temi dniami bardzo huczne wesele.

Rozmaitości.

— Stan pokojowy wojsk austryackich, według przyszłorocznego budżetu wojennego, przedłożonego delegacyom wspólnym, jest następujący: Piechota 141,040 ludzi, strzelcy 20,567, jazda 42,148, artylerya polowa 19,864, artylerya wałowa 7410, inżynierya 5474, pijonierzy 2677, powózki 1944, oddział sanitarny 2533, a w innych gałęziach 9280, czyli razem 252,866 ludzi. — Jestto bardzo niski stan pokojowy wojska, w porównaniu z innemi mocarstwami!

— Na odbytéj w Mielcu wystawie bydła rogatego włościańskiego, którą obesłało 163 wystawców, otrzymali nagrody następujące: 60 zła. Michał Berski z Zadusznik! po 50 zła.: Franciszek Dręga z Podola i Józef Rymanowski z Mielca; po 40 zła.: Antoni Pleban z Tuszyny i Antoni Sulik z Przecławia: 30 zła. Władysław Kwiatkowski oficyalista z Glinek; po 20 zła.: Jan Staczycki z Chorzelowa i Wilhelm Kurz z Reichsheimu; po 15 zła.: Wojciech Majocha z Górek, Wojciech Tomasiak z Rzędzianowic, Jędrzéj Gawron z Ostrówka, Ludwik Ulrich nauczyciel z Tuszowa, Bogumił Jargosz ze Trzciany, Józef Lewandowski z Kliszowa.

— Przestroga dla jadających grzyby. — W Kuropatnikach w parafii brzeżańskiéj zmarło, jak donoszą, od 18 do 21 września siedm osób, tj. ojciec, matka, czterej synowie i sługa, w skutek nieostrożnego spożycia grzybów jadowitych. Komisya lekarska uznała, że nastąpiło śmiertelne zapalenie kiszek.

— Woda żelezista źródlana, tak zwana rudawa, użyta do pojenia bydła podczas panującéj zarazy, według najnowszych spostrzeżeń wywiera najzbawienniejsze skutki. — Angielski minister spraw wewnętrznych, otrzymawszy o tém wiadomość, spostrzeżenie to poddał natychmiast naukowym i praktycznym badaniom, które okazały, że bydło pojone wodą rudawą (nasyconą żelazem) przy pojawieniu się chorób epidemicznych zostało uratowane. Dalsze na tém polu robione doświadczenia okazały, że od starego kutego żelaza, włożonego w koryto, woda zwyczajna równie skutecznych nabiera własności (chroniących bydło od zarazy) co i mineralna. Praktyczność tego doświadczenia podajemy do wiadomości czytelnikom naszym.

— Sposób uprawiania marchwi. — Próbujcie tylko gospodarze, a podziękujecie.

Sieję ja marchew na zimę, a uprawiam do niéj w sposób następujący. Najprzód orzę ziemię, potém ją bronuję, daléj ciągnę radlonki, w radlonki kładę drobny gnój, potem radlonki rozoruję i tym sposobem gnój przykrywam.

Na grzbietach tych radlonek, które gnój przykrywają, robię w podłuż na dwa cale głęboki rowek i w tenże sieję w listopadzie nasienie marchwi.

Ten i ów niema wiary do sianéj przed zimą marchwi, ale ja tak piękną ztąd mam paszę i tak jej wiele, że już nigdy inaczéj nie uprawiam. Trzeba z siewem tak dopilnować, żeby się krótko przed mrozem w ziemię dostał.

Marchew daje mi więcéj paszy niż wszelkie buraki, karpiele itp. Nać spasam osobno a samą marchew także osobno. *Antoni Dekiert.*

— Wędzidła. — Pewien dziedzic z powiatu lubawskiego (w Prusach Zachodnich) ogłasza co następuje: „Wszystkim właścicielom koni polecam usilnie używanie nieskładanych wędzideł, a zatem wyrzucenie natychmiastowe składanych. Przez długi szereg lat zrobiłem doświadczenie, że silne, młode jeszcze konie mimo najlepszéj paszy powoli chudły, nie chorując poprzednio. Śledząc uważnie za przyczyną, prawie zawsze znalazłem, że język tych koni zawsze mniéj lub więcéj był uszkodzonym, a to wyłącznie przez składane wędzidła. Uszkodzenie zaś języka przeszkadza koniowi nasycić się w odpowiednim czasie, a to jest główną przyczyną dalszéj choroby. Najczęściéj się to dopiero spostrzeże, kiedy język już bardzo ucierpiał, a w tym przypadku nawet po wyleczeniu, koń na zawsze pozostaje kaleką. Powie może nie jeden, że temu zaradzić można dokładnem dozorowaniem. Na przeciw temu twierdzę, że takie dozorowanie jest niemożliwem, gdyż na stu fornali zaledwie jeden się znajdzie, który z tejc sumienny robi użytek. Cieszyłbym się, gdyby gospodarze słuchali mej szczeréj rady, bo liczba wypadków, w których konie skutkiem zepsucia języka marnieją, jest bardzo wielka.

— Fałszowanie miodu prząśnego dzieje się dosyć często; farbują go przekupnie cukrem krochmalnym. — Miód taki można poznać po kolorze, zapachu i gęstości jego, a zwłaszcza po tém, że przy rozcieńczaniu go wodą wydzielają się krystaliczne ziarnka.

— Hodowla kur. — Prangé, autor obszernego dzieła o chowie kur, podaje następujące znaki płodności kury. Powiada on, że pierwszym znakiem jest grzebień i podbródek. Im one ciemniéj czerwono zabarwione

w czasie noszenia jaj, tém též kura jest płodniejsza. Kury, mające blady grzebień i podbródek, są niepłodne, i to o tyle w wyższym stopniu, o ile tarcze uszne są żółtawe, różowe lub brudnobiałe. Dodatek znaczniejszéj ilości łupin od jaj lub wapna do paszy kur nietylko zwiększa ich apetyt, lecz także ich płodność do tego stopnia, że kura tak karmiona dwa do trzech razy więcéj jaj zniesie. Bez dodatku tego, nawet kura płodna z natury wiele jaj produkować nie może.

— Wiek gęsi. — Dotąd utrzymywano, że gęś najwięcej ośm lat żyje. Nadleśniczy p. Maksymowicz w Jagiełach pod Przeworskiem ma gęś, która obecnie liczy już 30 lat życia, a która, odznaczając się szczególną płodnością, wydała około 300 sztuk potomstwa.

— Śpiący ułan. — Jedném z rzadkich ale w świecie lekarskim znanych zjawisk jest sen pruskiego ułana Górza, Polaka z Górnego Szląska, który w Poczdamie przeszło od ośmiu tygodni śpi bez przerwy i z wielką trudnością bywa zasilany, gdyż dotąd niemożna mu było ust otworzyć. Temi dniami Górz zaczął się ruszać w łóżku i mruczeć po polsku na pół ocknięty. Przytomności jednak jeszcze nie odzyskał, na pytania nie odpowiada. Ciało jego, przedtem sztywne, już łatwiéj poddaje się i jest giętsze. Chory otwiera usta i połyka płyny. Schudł on strasznie; waży obecnie 93¾ funta, a od dwóch tygodni jest o 4 funty lżejszym.

— Smutny przypadek wydarzył się znowu nad granicą Kongresówki pomiędzy Działdowem a Mławką. Stwierdza on po raz setny,jak nienormalne są stosunki sąsiedzkie z Rosyą, jak one wymagają spiesznego uregulowania.

Pewien młody silnie zbudowany człowiek, mający lat przeszło dwadzieścia, którego nazwisko dotąd niewiadome, został zatrzymany na komorze granicznéj w Mławce, za to że przy rewizyi znaleziono u niego ukryte półtora metra sukna na spodnie. Ponieważ mu grożono wygnaniem na Sybir itd., usiłował nieszczęśliwy człowiek uciec podczas transportu od wspomnionéj komory granicznéj do głównego urzędu celnego w Pewlewkach. Kiedy już przekroczył granicę i sądził się bezpiecznym od pogoni, naraz dosięgnął go strzał jednego z prowadzących go żołnierzy. — Kula przeszyła piersi i położyła go trupem na miejscu.

— Straszny orkan i powódź nawiedziły Teksas dnia 15 września, a burza w następnych dniach jeszcze się wzmogła. W Indyanoli morze na 6 stóp zalało całe miasto. Fale ze straszliwą siłą zaczęły szarpać budynki, które częścią runęły, częścią wymulone i zniesione zostały. Gdy orkan ustał, cały obszar pokryty był ruinami i trupami; ulic miasta nie można było poznać. Pod gruzami domów znaleziono jeszcze wielu żyjących mieszkańców; zginęło do 200 ludzi. Wszystkie kościoły zburzone; z magazynów kupieckich tylko pięć ocalało. Majtkowie w przystani potonęli. — I miasto Suluria uległo podobnemu losowi. — Wybrzeże morskie pokryte jest trupami. — Wiele osad mniejszych morze wymuliło ze szczętem.

— Nowy Robinzon. — Donoszą z Melburne w Australii, że okręt „John Bull“ przywiózł na swym pokładzie do Sidneyu pewnego młodego zdziczałego człowieka, którego od lat 16 uważano za zginionego w nieszczęśliwéj podróży morskiéj.

Jako chłopiec okrętowy na okręcie francuskim dostał się on przed szesnastu laty w skutek rozbicia się okrętu na zachodnie wybrzeże Nowéj Holandyi, i od tego czasu żył tam pomiędzy dzikimi krajowcami. — Przyjął też od nich wszystkie zwyczaje, tatuowany został na piersiach, a w uszach nosi drewienka grubości palca; pozbył się prawie wszelkiéj odzieży i ogorzał zupełnie od słońca. Języka francuskiego jednak nie zapomniał o tyle, że mógł się teraz dać poznać jako Francuz. Nazwisko jego Narcyz Piotr Pallatier.

Okręt francuski, na którym służył przed 16 laty, wioząc 300 Chińczyków do Australii, rozbił się w pobliżu grupy wysp Luizyady. Pallatier wraz z kapitanem i siedmiu majtkami dostał się szczęśliwie na ląd, gdzie go jednakże towarzysze jego opuścili, a natomiast gościnne znalazł przyjęcie u dzikich ludów zamieszkujących wyspę.

Obecnie w Australii zbierają składkę, ażeby mu powrót do kraju ojczystego umożebnić.

— Przeszedł na wiarę żydowską porucznik austryacki Jan Fischer, rodem z Wiednia, katolik, stojący w Peszcie; poddał się on żydowskiemu ceremoniałowi, aby zaślubić bogatą żydówkę z Papy.

Przypowieści króla Salomona.

„Synu mój! pilnuj mądrości mojéj, a ku mojéj roztropności nakłoń ucha twego, abyś strzegł ostrożności.

„Bo choć niewiasty obcéj wargi miodem opływają, a gładsze niż oliwa usta jéj:

„Jednakże ostatnie rzeczy jéj gorzkie jak piołun, a ostre jako miecz na obie strony ostry.

„Albowiem dla niewiasty wszetecznéj zubożeje człowiek; owszem kobieta cudzołożna drogą duszę łowi.“ (V, 1—4. VI, 5.)

Kto to czyta, niech dobrze rozważy!

— **Ceny zboża.** Pszenica biała polska od 8·50 do 11·00, podolska od 8·50 do 10·75, żółta od 8·50 do 11·00, czerwona od 9·00 do 11·00 — żyto polskie od 6·00 do 7·25, podolskie i rosyjskie od 5·75 do 6·50, jęczmień 6·00 do 7·00, groch od 7·50 do 9·50, owies od 4·25 do do 4·40, rzepak od 11·00 do 11·50.

OD REDAKCYI.

Wydawca: S. Jordan.

Redaktor odpowiedzialny: Jan Krawecki.

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.